



POTOMEK
WILKOW

Adrian K.
Antosik

Saga

Rodu

Dwoch

Di
toni

Adrian K. Antosik

Potomek Wilków

© Copyright by Adrian K. Antosik & e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska
Zdjęcie na okładce: Agnieszka Barć

ISBN e-book: 978-83-8166-128-7
ISBN druk: 978-83-8166-129-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2020



Elisław
Salach



Tomasz
Salach



Mateusz
Kozak



Marcin
Kozak



Xenia
Kub



Natalia
Kub



Alicja
Kub



Gregorz i Anna
Sulczy



Andrzej i Julia
Kozak



Abdulkarim
Kub



Marek
Kub



Krzysztof i Dorota
Kub



Nikolai
Wielki



Ignacy
Kub



Antoni
Kub



Joop i Sjoelie
Kub



Stanisław i Regina
Kulczy



Piotrek znowu



Paul i Malena
Kub



Całkowicie znowu



Pamięci Józefa Antosika
Synowi Pawła i Heleny z domu Goździk
Mojemu dziadkowi

Ten Ród
1800 rok

Tętent końskich kopyt zagłuszał ciszę ciemnego boru. Wąską, nieuczęszczaną ścieżką pędził jeździec, ponagłając konia uderzeniami wierzbowej gałązki. Czarna szata mężczyzny łopotała unoszona pędem. Raptem mężczyzna osadził konia, ciągnąc takim impetem zalejce, iż koń nieomal przysiadł na zadzie, zatrzymując się na skraj polany. Z spienionych chrap wydobywała się ciężki oddech, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Mężczyzna zadowolonym poklepał ogiera po szyi, uśmiechając się z satysfakcją. Dopiero teraz obejrzał się wokół. Stał na skraju niewielkiej polany, w której epicentrum stały zgliszcza zamku. W świetle księżyca dostrzegł, że w równym promieniu od nich nie rosło nic oprócz trawy, a i ta ginęła w niewielkiej odległości od murów.

– Przeklęta ziemia – sapnął delikatnie, ściskając konia udami. Kasztan ruszył powolnym krokiem w stronę miejsca, gdzie niegdyś znajdowała się brama. Mężczyzna zaczął wygwizdywać melodię, która miała pozwolić mu bezpiecznie wkroczyć na ziemię potępionych. Gdy od ruin dzielił go zaledwie koński sus, po obydwu bokach niegdyśejszej bramy zapłonęły pochodnie. Tuż zanim dostrzegł nowicjuszy ubranych w brązowe szaty, na głowach mieli kaptury. Na widok mistrza skłonili się. Zaraz po tym, jak wkroczył w pozostałości zabudowań, zapaliły się kolejne dwie pochodnie, a po nich następne. Gdy dotarł na wielki dziedziniec, ściany dawnych zabudowań jaśniały w ich blasku.

– Z dała musi to wyglądać, jakby płonęły – szepnął do siebie. Zmrużył oczy, a wargami wypowiedział zaklęcie. Jego umysł odnalazł puchacz siedzącego na skraj polany. Zwierzę drgnęło niespokojnie, gdy jego jaźń wniknęła w nie, zrozędem łamiąc wszelki bunt woli. Jego oczami spojrzął na zamek. Miał racje, z daleka widział łunę unoszącą się nad ruinami. Opuścił jaźń zwierzęcia, które zamachało w rozpaczy skrzydłami. Tę niefor-

tunny ruch sprawił, iż spadło z drzewa tuż pod nogi dzika. Nim ptak zdążył cokolwiek zrobić, potężny odyniec zakończył jego istnienie, odgryzając głowę oddrgającego konwulsyjnie korpusu. Mężczyzna otworzył oczy w momencie, gdy nowicjusz podchodził do jego rumaka.

– Mistrzu, najjaśniejsi na ciebie czekają – mówiąco to, złapał za uzda, przytrzymując konia.

Mistrz uśmiechnął się, zgrabnie zeskakując na ziemię. Widział grupę czterech starców stojących na środku dziedzińca, tuż zanim nastosie pogrzebowym leżało ciało piątego. Zatrzymał się przed zgromadzonymi i skłonił.

– Gdy jeden odchodzi, inny zajmuje jego miejsce, by było nas pięcioro. Pięcioro jak pięć palców jest wręce, by w miażdżącą zło pięść mogła się zacisnąć. – Czwórka najjaśniejszych przywitała go.

– Jednym z pięciu, pięciu jednością, bądźmy pięścią karzącą! Sentencja, którą wypowiedział machinalnie, w dawnych czasach miała ogromne znaczenie, teraz jednak było tylko przedostatnim krokiem zbliżających mistrza do awansowania najjaśniejszego.

– Ten, którego przyprowadziłeś, czy jest na tyle potężnym złem, by był godzien złożenia w ofierze? – mówiąco to, skinął ręką. Pochodnie obok stosu rozbłysły, ukazując przykutego ogromnym łańcuchem półnagiego młodzieńca, którego pierś podnosiła się i opadała w przyspieszonym oddechu.

– Natrafiłem na jego ślad w Polsce – zaczął mistrz – już od ponad roku jest wilkołakiem, jednak dziwnym. Niewpadał w szal podczas pełni, nie zmienia się. Może to przez to, że zabiłem jego stwórcę. Nie jestem pewien. Jednak od tamtego czasu go obserwuję. Nawet miałem wątpliwości, czy został zarażony, jednak pewnej nocy udowodnił mi, że to potrafi i nie potrzebuje księżycy!

– Niesłychane – czterej starcy odezwali się jednocześnie.
– Nie ma na co czekać – rozległ się głos najstarszego z czwórki. – Niech mistrzowie i depci Zakonu Lewej Ręki Bogazapalą pochodnie! Czas, by piąty najjaśniejszy powrócił! Mistrzu, rozpocznij rytuał!

Powiedziawszy to, ruszył przed siebie, a wraz za nim pozostali. W czórkę okrążyli stos oraz przykutą ofiarę, tworząc wokoło krąg, do którego wszedł piąty mistrz. Starcy unieśli ręce, a pochodnie trzymane przez wieluludzi nagle zapłonęły jasnymi płomieniami, rozświetlając całą okolicę jasną łuną. Mistrz rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. Teraz cały przebieg ceremonii zależał tylko i wyłącznie od niego.

Trzymając dumnie przed sobą pochodnię, był najdalej oddaloną osobą odepicentrum, co było jednoznaczne z pozycją najmłodszego w zakonie. Jednak pomimo tego był z siebie dumny, wstąpił do zakonu, by niszczyć zło i uczestniczył w tym już trzykrotnie.

Teraz, gdy jeden z pięciu najjaśniejszych odszedł, miał stać się świadkiem kolejnego wielkiego wydarzenia w zakonie, nastanie nowego Najjaśniejszego. Napięcie w powietrzu, dreszczenacie, wszystkim otomówiło mu, jak wielkie jest to wydarzenie. Dla wszystkich, nie tylko dla mistrza, który dostępował tego zaszczytu. Wypuścił powietrze, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w to, co działo się bezpośrednio na placu, gdy nagle poczuł nieprzyjemnemrowienie. Rozejrzał się po zebranych członkach zakonu. Wszystkowi dałomusieć takie jak powinny być. Uniósł głowę, spoglądając naprzeciwległą stronę, gdzie stał jego przyjaciel, o pół roku starszy w hierarchii, jak często zdarzało mu się żartować. Raptem dostrzegł stojące za nim zakapturzone dwie postacie. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, iż jedna z nich łapie

zarękę z pochodnią, druga zaś zakrywa ustakolegi, wbijając mu sztylet pod żebra. Zamrugał, rozdziawiając usta w przerażeniu, jednak teraz dostrzegł jedyną sylwetkę, stojącą jak stała, zgłowając pochyloną kudołowi, z pewnością wpatrującego się z zainteresowaniem w odprawiane rytuały.

Zamknął usta i wziął głęboki wdech. Z pewnym zakłopotaniem stwierdził, iż krople potu sperliły mu czoło. Nie rozumiał, skąd w takiej wzniosłej chwili mogły wyzwolić się w nim tak wielkie pokłady strachu. Otarł wolą ręką czoło, tak by nie tracić z pola widzenia tego, co dzieje się na dole. Nagle poczuł, jak po jego karku przelatuje zimny dreszcz. Wyprostował się, usztywniając mięśnie. Był pewien, iż stożak nim jakaś postać, a jednocześnie nie mógł w to uwierzyć. Gdy czyjaś dłoń złapała go z rękę z pochodnią, a druga brutalnie zatkała usta, powtarzał sobie w myślach, że to wszystko nie może tak się skończyć, przecież był wybrańcem bożym. Chłód ostrza wbijanego pod żebra sprawił, iż w odruchu spróbował się wyprężyć, instynktownie uciekając od źródła bólu. Po jego bokach zaczęła spływać ciepła ciecz, brocząc jego szatę. Ktoś delikatnie, niczym matka położył go na ziemi. Świat powoli się rozmazał. Wyteżył wzrok. Jego oczy spoczęły na butach kogoś stojącego na jego miejscu. W sercu zapłonął mu gniew. Szarpnął się, uwalniając usta od palącej go ręki. Wziął głęboki wdech, by wrzasnąć przeraźliwie, na całe gardło. Coś ukuło go w przetyk. Fala potwornego bólu rozplynęła się po ciele. Ciepła, gęsta ciecz zaczęła zalewać mu gardło, z którego wydobył jedynie stłumiony bulgot.

– ...i stanę się godny, by stać się jednym z pięciu!

Jego donośny głos rozbrzmiewał niczym grom w ruinach zamczyska. Czuł nasobieżny wzrok wszystkich członków zakonu. Podświadomie, na granicy myślowych wyczuwał ich pragnienia. Chcieli być na jego miejscu, mieć jego władzę, jego potęgę!

Omalsię nieroześmiał, czując przenikającą go falę zawiści. Jednak w porę się opanował, gdy z czterech stron zaczęli zbliżać się doniego najjaśniejsi. Ukląkł. Położyli na nim swoje starczeręce. – Ukląkłeś poddanym – wydobył się głos z czterech gardeł jednocześnie – powstań nam równym. Stań się jednym z najjaśniejszych. Bądź palcem u jednej dłoni. Przypieczę tują swą wolę krwią bestii!

Powstał. Najstarszy podał mu sztylet. Przyjął go i schował za pas. Obrócił się w stronę swojej ofiary, poczym przeniósł wzrok na Najjaśniejszego spoczywającego na stosie pogrzebowym. Nagle przypomniało mu się, jak jego mistrz kiedyś opowiadał okaże dwóch dłoni. Prostym w wykonaniu zaklęciu, które służyło do oznaczenia ofiary. Nie pamiętał, co dokładnie działo się z oznaczonymi, jednak zaklęcie było proste i bardzo efektowne. Uśmiechnął się, zrzucając siebie wierzchnią szatę. Stając półnagi przed zgromadzeniem, z przepięknym sztyletem schowanym za pasem, uniósł obydwie ręce ku górze.

– Ja, Najjaśniejszy – krzyknął, obracając dłoń, a pod stosem rozbłysły płomienie ognia – dopełnię rytuału, tak jak robili to nasi czcigodni bracia!

Raźnym krokiem podszedł do oszalałego ognia i zanurzył w nim dłoń, jednocześnie mrużąc zakłęcia. Pochwili wyrwał je i znów podniósł nad głowę, ukazując, iż żarzą się czerwienią, od łokci po czubki palców. Opuścił je, podchodząc do ofiary. Nie zwalniając kroku, wyprowadził kopnięcie prosto w twarz przykutego łańcuchami, który dotąd przyglądał się wszystkiemu z zainteresowaniem. Niczym dzielony kundel na łańcuchu, jego ofiara poderwała się i rzuciła na niego. Łańcuchy napięły się i szarpnęły rękoma młodzieńca w tył, tak że wypiął pierś do najjaśniejszego. Tan właśnie na to liczył. Z pełną furii pasją

przyłożyłoby dwiedźlonie dopiersi młodzińca. W jego nozdrza uderzył zapach palonej tkaniny i skóry. Dostrzegł żyły napinające się na szyi swojej ofiary, a jej twarz pokryta teraz czerwienią oraz bólem sprawiła munięzierną przyjemność. Płynnym ruchem odważył się od młodzińca, który osunął się na kolana. – Oznaczyłem swą pierwszą ofiarę – wykrzyczał, dobywając rytualnego sztyletu. – Teraz nadszedł czas, by dopełniła się ceremonia!

Unióś uzbrojone ramię nad głową, by zadać śmiertelne pchniecie, gdy nagle kątem oka dostrzegł delikatny ruch światła padający z jednej pochodni. Już miał się odwrócić w tamtą stronę, gdy jego uwagę zwrócił śmiech jego niedosłej ofiary. Spojrzał w dół, wciąż trzymając uniesioną rękę. Szybko, podświadomie, wyszeptał zakłęcie i poczuł, jak ze strachu jeżą mu się włoski na karku. Jego świadomość objęła całe ruiny, wyczuwając wszystkie istoty emitujące magiczną energię. Pierwszym zaskoczeniem było dlanie go, że kilka z jego bractwa zgasło... Jakby umierali... Wyczulił zmysły. Nagle poczuł ogniska ogromnej mocy, kryjące się na obrzeżach magicznych kręgów, oraz źródło, które gorzało tuż u jego stóp. Spojrzał na młodzińca patrzącego na niego z dołu, a chłód bijący z oczu ofiary zmroził mu serce.

– Miałeś być osłabiony... – Wyskamdł. – Nie powinieneś mieć sił po ziołach...

Młodzińiec poderwał się na równe nogi, napinając mięśnie i jednocześnie rozpoczynając przemianę. Raptownie szczękę pękających ogniw łańcucha złał się w jedno z falą bólu, jaki poczuł. Przeszłamek sekundy wydawałom się, że jednym wynikiem bezpośrednio z drugiego. Dopiero po chwili, gdy do jego skołatanego umysłu dotarło, iż lecibezwładnie w stronę szczątków muru, zrozumiał, co się stało. Bestia zerwała się ze smyczy podczas prze-

miany, po czym go zaatakowała. Głuche uderzenie w coś twardego wyrwało mu powietrze z płuc, by w uderzeniu serca później wyłączyć wszystkie jego zmysły. Osunął się w ciemność...

Świadomość kilkakrotnie do niego wracała, choć nie potrafił powiedzieć, jak długi czas upływał pomiędzy jednym a drugim rozwarciem powiek. Widział niewyraźnie postacie przemykające w obrębach światła, ale nie potrafił ich skojarzyć. Widział rozmazane cienie wielkiego wilkaścigającego swoje ofiary, widział umykających braci, widział też inne postaci, nieznane mu... A wszystko tonęło w opętańczych wrzaskach...

Zacisnął palce na twardym przedmiocie. Nie wiedząc, co to takiego, spróbował zogniskować wzrok na wyciągniętej przed siebie ręce. Nagle do jego uszu doleciał kobiecy głos.

– Co z tymi ranami Mateusza?

Spanikował. Z przerażeniem zamknął powieki i zmarł w bezruchu.

– To chyba jakieś zaklęcie – powiedział inny męski głos – już się zbliżniły, ale wyczuwam w nich magię.

Mężczyzna mówił coś jeszcze, czego nie zrozumiał. Nagle poczuł ostry zapach krwi i stracił przytomność wypowiadając zaklęcie.

Spróbował otworzyć oczy, jednak ostry blask wdzierający się przez uchylone powieki sprawił, iż zaraz nowo je zamknął. Próbował parokrotnie, nim musiał udać. W jasnym rozmazanym świetle dostrzegł czyjąś sylwetkę pochylającą się nad nim. Był najmłodszym z zakonu, zmarł i został ożywiony, a teraz został namaszczonym mistrzem. Jedynym ciałym spośród zabitych. Mimowolnie uśmiechał się, spoglądając na głaz z odcisniętą lewą ręką. Głaz, który niegdyś był człowiekiem.

Człowiekiem będącym jednym z pięciu palców Lewej Ręki Boga, który zawarł w swoim jestestwie całą jego pięść. Palec, który stał się pięścią. Umierającą Światłością.

Znów poczuł przyjemne mrowienie w palcach, gdy do jego ciała zaczęła napływać, życie daj nam oświecenie zabitych tej nocy. Gdy w końcu wstał, świeciło, a on, najmłodszy z nich wszystkich, posiadał wszystkie tajniki mistrzów zgładzonych tej nocy. On, najslabsze ogniwostał się całym zakonem, a nad nim pozostał już tylko ten, który uosabiał Lewą Rękę Boga. Nim zapadł w swój kamienny sen, powierzył mu cel. Misję, która miała stać się jego życiem. Pragnienie będące drogą ku światłości.

Młodziwiec spojrzał na kamień, po czym rozejrzał się po polu bitwy. Rozszarpane ciała leżały tam, gdzie dokonał swego żywota. Kilko razy dawnych braci napoczęły już dzikie zwierzęta. Wiedział, że nie może ich pochować, oddając im należną cześć. Naciągnął kaptur na głowę. Jego usta rozciągnęły się w ponury uśmiech. Zemsta na Mateuszu musiała się dopełnić w przyszłości, a teraz nadszedł czas przygotowań do niej...